

Wielkie Milczenie Obamy: kwestia rasowa

25 listopada 2009

Amerykanie rozpoczęli lato wciąż celebrując świt ery „postrasistowskiej”. Kończą je pozbawieni takich złudzeń. Całe lato roku 2009 przebiegało pod znakiem rasy, poczynając od stwierdzeń Republikanów, że Sonia Sotomayor, nominowana przez Baracka Obamę do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, jest „rasistką” wobec białych. Później, kiedy tylko pomówienia te trochę przycichły, wyskoczyła „sprawa Gatesa”, wrzawa, którą wywołała reakcja prezydenta na aresztowanie afroamerykańskiego akademika Henry’ego Louisa Gatesa Juniora w jego własnym domu. Wypowiedź, w której Obama określił działania policji jako „głupie”, dowodzi według cieszącej się dużą popularnością prezenterki Fox News Glenn Beck, że prezydent „ma głęboko zakorzenioną nienawiść do białych ludzi”.

Rzekomy rasizm Obamy dał zastrzyk energii niszowemu ruchowi posądzającemu go o życie pędzone w konspiracji mającej na celu zatuszowanie swego (fikcyjnego) afrykańskiego urodzenia. Z kolei Fox News z radością odkryło Vana Jonesa, specjalnego doradcę Białego Domu do spraw zielonych etatów. Po tygodniach oskarżeń o bycie „czarnym nacjonalistą oraz zaprzysięgłym komunistą” minionej niedzieli Jones złożył dymisję.

Wspólnym podtekstem wszystkich tych ataków było przekonanie, że Obama, daleki od postawy niezważającego na kolor skóry umiarkowanego polityka, na jakiego pozował podczas kampanii prezydenckiej, ma w rzeczywistości obsesję na punkcie rasy, w szczególności zaś redystrybucji majątku białych i przekazania go w ręce Afroamerykanów i nielegalnych pracowników z Meksyku. W sierpniu, na publicznych wiecach w całych Stanach te osobliwe pretensje zlały się w coś przypominającego zryw pod hasłem „odzyskajmy nasz kraj”. Henry D. Rose, przewodniczący organizacji Czarni za Społeczną Sprawiedliwość (ang. Black

For Social Justice), niedawno przyrównał gromadzące się przeciwko Obamie, w znakomitej większości białe, często uzbrojone tłumy do kampanii „masowy opór” [1] zapoczątkowanej w późnych latach 50. – rozpaczliwej próby powstrzymania przez białych z południa integracji rasowej ich szkół i ochrony innych praw Jima Crowa. Dzisiejsza „nowa era masowego oporu”, pisze Rose, „także jest białym projektem rasistowskim”.

Jest jednak co najmniej jedna znacząca różnica. W późnych latach 50. i wczesnych 60., wzburzenie białych tłumów było reakcją na zwycięstwa odnoszone przez obrońców praw obywatelskich, które przekształcały oblicze świata. W przeciwieństwie do tego, dzisiaj tłumy zrywają się w reakcji na symboliczne zwycięstwo Afroamerykanina, który zdobył prezydenturę. Co więcej, dzieje się to w czasie, kiedy przeciętni czarni i Latynosi tracą grunt pod nogami, kiedy ich domy i miejsca pracy wymykają się z rąk w znacznie większym stopniu niż białym. Jak dotąd Obama uchylał się od podjęcia konkretnych działań zmierzających do zniwelowania tego nieustannie pogłębiającego się podziału. Istnieje duże ryzyko, że w rezultacie mniejszości zostaną pozostawione w najgorszej z możliwych sytuacji: staną się obiektem szeroko zakrojonego dotkliwego rasistowskiego odwetu, zarazem jednak nie otrzymają żadnego politycznego wsparcia, które złagodziłoby trudy dnia codziennego. Tymczasem, kiedy radykalna prawica nieustannie przedstawia Obamę jako skrzyżowanie Malcolma X z Karolem Marksem, większość wierzących w postęp czuje, iż to ich zadaniem jest obrona prezydenta – nie zwracając uwagi na to, że gdy idzie o zmagania z kryzysem ekonomicznym, siejącym spustoszenie wśród mniejszościowych społeczności, mógłby on robić znacznie więcej.

Do wielu antyrasistowskich aktywistów świadomość, że Obama mógłby nie być tym liderem, na którego nadejście mieli nadzieję, dotarła z chwilą gdy ogłosił, że jego administracja zbojkotuje Przeglądową Konferencję ONZ dotyczącą wdrażania antyrasistowskich postanowień z Durbanu (ang.: UN Durban

Review Conference), powszechnie określaną jako „Durban II”. Niemal cała debata publiczna powstała wokół konferencji skoncentrowała się na jej domniemanym antyizraelskim charakterze. Kiedy wreszcie w kwietniu konferencja doszła do skutku w Genewie, niemal wszystkim, co dotarło do naszych uszu, było podżegające przemówienie irańskiego prezydenta Mahmuda Ahmadineżada, które spotkało się z aroganckimi zakłóceniami, począwszy od opuszczających salę delegatów UE, po żydowskich studentów z Francji, którzy nałożywszy peruki klaunów i czerwone nosy, próbowali go zakrzyczeć.

W tej cyrkowej atmosferze utracono niesamowitą wagę, jaką konferencja ta miała dla ludzi afrykańskiego pochodzenia, zwłaszcza zaś dla najbardziej lojalnych zwolenników Obamy. Amerykański ruch praw obywatelskich przyjął pierwszą konferencję Durban, która odbyła się latem 2001, z wielkim entuzjazmem, postrzegając ją jako początek ostatniej fazy snu Martina Luthera Kinga o pełnej równości. Mimo że większość czarnoskórych liderów ograniczyła się do nieśmiałej publicznej krytyki prezydenckiego bojkotu Durbanu II, prywatnie decyzja ta była omawiana jako najbardziej jawna zdrada zmagających się o prawa obywatelskie, jakiej dopuścił się on od chwili objęcia gabinetu.

Pierwotne zgromadzenie z 2001 r. wcale nie było poświęcone wyłącznie sprawie izraelsko-palestyńskiej, czy antysemityzmowi, jak to tak wielu utrzymywało (choć zapewne kwestia ta odegrała pewną rolę). Konferencja dotyczyła w przeważającej mierze spraw Afryki, brzemiennej w konsekwencje spuścizny niewolnictwa oraz olbrzymich niespłaconych długów, które bogaci mają wobec biednych.

Zorganizowanie w 2001 r. Światowej Konferencji przeciwko Rasizmowi w miejscu wciąż nazywanym „Nową Południową Afryką” wydawało się wspaniałym pomysłem. Światowi przywódcy zebraliby się, by gratulować sobie zgładzenia zmory apartheidu, a następnie ślubować rozprawienie się z kilkoma pozostałymi na świecie śladami dyskryminacji, takimi jak przemoc policji,

nierówny dostęp do pewnych zawodów, brak odpowiedniej opieki zdrowotnej dla mniejszości czy nietolerancja względem emigrantów. Ku powszechnemu zadowoleniu wyrażona zostałaby stosowna dezaprobata dla takich uchybień względem równości, obiecujący zaś zmiany dokument o szczytnych intencjach zostałby sygnowany. Tego przynajmniej oczekiwały zachodnie rządy.

Pomyliły się. Kiedy delegaci konferencji dotarli do Durbanu, wielu zszokował wrogi nastrój na ulicach: dziesiątki tysięcy Południowoafrykańczyków dołączyło do protestów wokół centrum konferencyjnego, trzymając transparenty, które mówiły „Brak ziemi = rasizm” oraz „Nowy apartheid: bogaty i biedny”. Wielu potępiło konferencję jako fikcję, domagając się konkretnych odszkodowań za zbrodnie apartheidu. Rozczarowanie Południowej Afryki, choć szczególnie uderzające w obliczu jej niedawnego demokratycznego zwycięstwa, było częścią znacznie szerszego globalnego trendu, który określał tę konferencję zarówno na ulicach, jak i w aulach. Na całym świecie kraje rozwijające się zaczęły coraz częściej postrzegać politykę gospodarczą tak zwanego Konsensu Waszyngtońskiego jako niewiele więcej niż sprytny zabieg zmiany opakowania, sposób by dawne północne mocarstwa kolonialne mogły kontynuować drenaż krajów Południa z ich bogactw, unikając przy tym niedogodności jakie niesie ze sobą kolonializm. Około dwa lata przed Durbanem, koalicja krajów rozwijających się odmówiła dalszej liberalizacji swych gospodarek, co doprowadziło do fiaska rozmów Światowej Organizacji Handlu w Seattle. Parę miesięcy później nowy i bojowo nastawiony ruch wzywający do jubileuszowego umorzenia długów zakłócił coroczne spotkanie Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Durban był kontynuacją tych wzmagających się na Południu rebelii, wniósł jednak do tej mieszanki coś nowego: wystawił byłym złodziejom fakturę.

Chociaż prawdą jest, że kraje Południa są dłużnikami zagranicznych banków i instytucji kredytowych, to prawdą jest także, że w okresie kolonialnym – pierwszej fali globalizacji

– Północ zbudowała swe bogactwo w znacznej części w oparciu o skradzione narodom skolonizowanym ziemię i darmową siłę roboczą, którą zapewniał handel niewolnikami. W Durbanie wielu przekonywało, że gdyby do rachunku doliczyć te dwa długi, to najuboższe obecnie regiony świata – zwłaszcza Afryka i Karaiby – okazałyby się kredytodawcami, zaś bogaty świat znalazłby się na debecie. Wszystkie duże konferencje ONZ koncentrują się wokół jakiejś myśli przewodniej, a w Durbanie, w roku 2001, takim wiodącym tematem było wezwanie do odszkodowań. Nadrzędne przesłanie głosiło, że nawet jeśli najbardziej rzucające się w oczy przejawy rasizmu – rządy kolonialne, apartheid, segregacja w rodzaju reżimu Jima Crowa – w znacznej mierze zniknęły, to głębokie podziały rasowe wciąż będą się utrzymywać, a nawet poszerzać, dopóki państwa i korporacje, które przez wieki korzystały z odgórnie sankcjonowanego rasizmu, nie spłacą choć części tego, co są winne.

Afrykańskie i karaibskie delegacje rządowe przybyły do Durbanu z dwoma podstawowymi żądaniami. Po pierwsze, domagały się przyznania, że niewolnictwo, a nawet sam kolonializm ukonstytuował „zbrodnie przeciwko ludzkości” podlegające prawu międzynarodowemu; po drugie, by kraje, które zbrodni tych się dopuściły i czerpały z nich profity, naprawiły wyrządzone szkody. Panowała prawie powszechna zgoda, że odszkodowaniom powinny towarzyszyć jasne i jednogłośnie przeprosiny za okres niewolnictwa, jak również zobowiązanie zarówno do zwrotu skradzionych dóbr, jak również do edukacji dzisiejszych społeczeństw na temat skali i wpływu handlu niewolnikami. Oprócz tych raczej symbolicznych aktów, odbyła się także poważna debata. Dudley Thompson, były jamajski minister spraw zagranicznych i wieloletni przywódca ruchu panafrykańskiego, sprzeciwił się jakiegokolwiek próbie określenia kwoty długu: „Niemożliwe jest przypisanie jakiejś cyfry zabójstwu milionów ludzi, naszych przodków”, powiedział. Wiodące głosy, które domagały się odszkodowań, mówiły raczej o „długu moralnym”, który mógłby posłużyć jako dźwignia, do zreorganizowania międzynarodowych stosunków na wiele różnych sposobów,

począwszy od umorzenia długów zagranicznych Afryki, aż po uruchomienie szeroko zakrojonego programu rozwoju dla tego kontynentu na kształt europejskiego Planu Marshalla. Wyłaniał się postulat jakiegoś radykalnego Nowego Ładu dla całego Południa.

Organizowane przez następną dekadę w krajach afrykańskich i karaibskich spotkania wysokiego szczebla dotyczące odszkodowań przyniosły niewielkie efekty. Przełom w Durbanie wywołał jednak podobną debatę w USA. Fakty są tyleż znane, co powszechnie ignorowane. Nawet jeśli na prawie każdym polu pojedynczy czarnoskórzy przekraczają barierę koloru, to korelacja pomiędzy rasą a ubóstwem pozostaje głęboko zakorzeniona. Czarni w USA wciąż mają dramatycznie wyższy stopień śmiertelności noworodków, zakażeń HIV, uwieńczeń i bezrobocia, ale także niższe płace, przewidywaną długość życia oraz stopień uwłaszczania mieszkaniowego [2]. Największą przepaść widać jednak w wartości netto [3]. Do końca lat 90., wartość netto przeciętnej czarnej rodziny wynosiła ósmą część średniej krajowej. Niska wartość netto oznacza mniejszy dostęp do tradycyjnych kredytów (ale, jak się okazuje, więcej kredytów hipotecznych podwyższonego ryzyka [ang. subprime mortgages]). Oznacza to także, że rodziny mają oprócz długów niewiele do przekazania następnym pokoleniom, co z kolei uniemożliwia samoistne wygaśnięcie tej finansowej przepaści.

W roku 2000, Randall Robinson opublikował książkę „Dług: co Ameryka winna jest Czarnym”, gdzie argumentował, że „białe społeczeństwo [...] musi przyznać się do niewolnictwa i uznać swój dług wobec współczesnych jego ofiar”. Książka stała się krajowym bestsellerem i w ciągu paru miesięcy wezwanie do odszkodowań zaczęło przybierać postać nowej walki z apartheidem. Studenci domagali się by uniwersytety ujawniły swoje historyczne więzi z handlem niewolnikami, rady miejskie wszczęły publiczne przesłuchania w kwestii odszkodowań, oddziały Narodowej Koalicji Czarnych na rzecz Odszkodowań w Ameryce (ang. National Coalition of Blacks for Reparations in

America) zaczęły powstawać w całym kraju, zaś Charles Ogletree, słynny harwardzki profesor prawa (i jeden z najważniejszych mentorów Obamy), zebrał prawny zespół prawniczych gwiazd, by spróbować wygrać w amerykańskich sądach procesy o odszkodowania.

Wiosną roku 2001 odszkodowania stały się gorącym tematem amerykańskich talk-show i op-edów [4]. A chociaż przeciwnicy ustawicznie przedstawiali te żądania jako żądania czarnych, którzy domagają się indywidualnych datków od rządu, większość obrońców odszkodowań jednoznacznie dążyła do rozwiązań zbiorowych: na przykład powszechnych funduszy stypendialnych, czy poważnych inwestycji tak w profilaktykę medyczną, jak i ubogie obszary śródmiejskie, czy rozpadające się szkoły. Zanim pod koniec sierpnia konferencja w Durbanie na dobre się rozpoczęła, przeniknąć ją już zdołał duch czarnego Woodstock. Przybyć miała Angela Davis. Także Jesse Jackson i Danny Glover. Niewielkie radykalne ugrupowania takie jak Zjednoczony Front Narodowy Czarnych (ang. National Black United Front) przez wiele miesięcy zbierały pieniądze by kupić setki biletów lotniczych do Afryki Południowej. Aktywiści napłynęli do Durbanu ze 168 krajów, ale zdecydowanie największa delegacja przybyła z USA: około 3000 ludzi, w tym z grubsza 2000 Afroamerykanów. Ogletree energetyzującą odezwą dodał wiary tłumom: „To jest ruch, którego nie można powstrzymać... Obiecuję, że jeszcze za naszego życia zobaczymy odszkodowania.”

Wezwanie do odszkodowań przybrało wiele postaci, jedna rzecz była jednak pewna: antyrasizm przekształcił się w Durbanie z czegoś bezpiecznego i wygodnego dla elit, w coś wybuchowego i potencjalnie bardzo, bardzo kosztownego. Rządy krajów Północnej Ameryki i Europy, dłużnicy z perspektywy tej nowej księgowości, desperacko próbowały skierować negocjacje na bezpieczny grunt. „Lepiej spoglądajmy w przyszłość, zamiast wytykać palcami przeszłość” powiedziała doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego Condoleezza Rice. Takie głosy nie

znalazły jednak posłuchu. Durban, według Aminy Mohamed, głównej negocjatorki ze strony bloku afrykańskiego, był afrykańskim „rendez vous z historią”.

Nie wszyscy jednak chcieli wziąć udział w tym starciu i tu właśnie pojawiły się kontrowersje związane z Izraelem. Durban, o czym warto pamiętać, miał miejsce tuż po upadku Porozumień z Oslo i znaleźli się tacy, którzy mieli nadzieję, że konferencja ta będzie mogła w jakiś sposób zapełnić powstałą próżnię polityczną. Sześć miesięcy przed spotkaniem w Durbanie, podczas azjatyckiej konferencji przygotowawczej w Teheranie, parę islamskich krajów domagało się w swym projekcie Deklaracji Durban sformułowań, które opisywały działania Izraela na ziemiach okupowanych jako „nowy rodzaj apartheidu” i „formę ludobójstwa”. Następnie, na miesiąc przed konferencją, pojawiła się nowa presja na zmiany: nawiązania do Holocaustu zostały zestawione z „czystkami etnicznymi wśród arabskiej populacji na terenach historycznej Palestyny”, podczas gdy wzmianki o „wzroście przejawów antysemityzmu i aktów wrogości wobec Żydów” skojarzono z wypowiedziami o „wzroście praktyk rasistowskich syjonizmu”, sam zaś syjonizm opisano jako ruch „oparty na rasistowskich i dyskryminacyjnych ideach”.

Były wprawdzie przypadki potwierdzające to wszystko, jednak taki język zaprzepaściłby całe spotkanie (podobnie jak wcześniej rezolucja „syjonizm równa się rasizm” zaprzepaściła dorobek innych debat w łonie ONZ). W międzyczasie, gdy tylko konferencja się rozpoczęła, równoległe forum organizacji pozarządowych wymknęło się spod kontroli. Liczące ponad 8 tys. uczestników i nieprzestrzegające jakichkolwiek sensownych reguł, forum NGO przekształciło się w masową bezładną kłótnię, podczas której, obok innych incydentów, Arabska Unia Prawników (ang.: Arab Lawyers Union) rozdawała broszurę zawierającą obrazki rodem ze Stürmmera przedstawiające Żydów z zakrzywionymi jak hak nosami i krwawymi kłami.

Czołowi przywódcy organizacji pozarządowych i obrońców praw

obywatelskich surowo potępili incydenty antysemickie, tak jak zrobiła to Mary Robinson, ówczesna Wysoka Komisarz ONZ do spraw Praw Człowieka. Żadne z kontrowersyjnych sformułowań dotyczących Izraela i syjonizmu nie przedostało się do ostatecznej Deklaracji Durban. Jednak dla dopiero co wybranej administracji Georga W. Busha było to bez znaczenia. Testując właśnie granice tego, co miało stać się nową erą amerykańskiego unilateralizmu, Bush uczepił się domniemanego antyizraelskiego charakteru konferencji jako doskonałej wymówki by uciec ze sceny, zręcznie unikając debaty dotyczącej Izraela i odszkodowań. Na samym początku konferencji USA i Izrael wycofały się.

Pomimo tych wszystkich trudności, Afryka nie odwołała swojej randki z historią. Ostateczna Deklaracja Durban stała się pierwszym dokumentem zawierającym międzynarodowe prawomocne sformułowanie orzekające, że „niewolnictwo i handel niewolnikami są zbrodnią przeciwko ludzkości i zawsze tak klasyfikowane być winny, co tyczy się zwłaszcza transatlantyckiego handlu niewolnikami”. Sformułowania te były czymś znacznie poważniejszym niż tylko symboliczną deklaracją. Kiedy wcześniej prawnicy ubiegali się w amerykańskich sądach o odszkodowania za okres niewolnictwa, największą przeszkodę stanowiły zawsze przepisy o przedawnieniu, wedle których prawomocność roszczeń dawno już wygasła. Jeśli jednak niewolnictwo było „zbrodnią przeciwko ludzkości”, nie podlegało żadnym takim przepisom.

Ostatniego dnia konferencji, gdy Kanada próbowała zminimalizować znaczenie tej deklaracji, zabrała głos Amina Mohamed, obecnie wysoka urzędniczka w kenijskim rządzie. „Pani Prezydent”, powiedziała Mohamed, „to nie jest jakaś zbrodnia przeciwko ludzkości ważna tylko dziś, albo tylko wczoraj, ale zbrodnia na zawsze i po wsze czasy. Norymberga jasno określiła, że zbrodnie przeciwko ludzkości wymykają się ramom czasowym.” Dlatego wszelkie działania, które biorą odpowiedzialność za te zbrodnie „są oczekiwane i są na

miejscu". Aula wybuchła wiewatami i długą stojącą owacją.

Ugrupowania afroamerykańskich aktywistów spędziły swój ostatni dzień na konferencji planując marsz na Waszyngton pod hasłem „Miliony Na Odszkodowania” [5]. Prawnik Roger Wareham, wiodący adwokat w ważnym pozwie o odszkodowania i jeden z organizatorów, wspominał, że opuszczając Południową Afrykę „ludzie byli naprawdę naładowani” – gotowi by wznieść swój ruch na wyższy poziom.

To był 9 września 2001. Dwa dni później, o afrykańskim „rendezvous z historią” praktycznie zapomniano. Daleko posunięte żądania, które sformułowano w Durbanie podczas tego pierwszego tygodnia września 2001 roku – domagano się anulowania długu, wypłaty odszkodowań za niewolnictwo i apartheid, redystrybucji ziemi i nadania praw do niej autochtonom, rekompensaty, a nie jałmużny – nigdy więcej nie zdołały już zwrócić międzynarodowej uwagi. Na rozmaitych spotkaniach Banku Światowego i szczytach G8 mówi się oczywiście o łaskawym zapewnieniu Afryce środków pomocy, a może i „wybaczeniu” jej długów. Nie ma tu jednak miejsca na sugestie, że to może właśnie kraje G8 są dłużnikami, Afryka zaś wierzycielem. Albo, że to my, na zachodzie, powinniśmy prosić o wybaczenie.

Ponieważ Durban zniknął zanim zdążył się kiedykolwiek w pełni pojawić, trudno jest czasami uwierzyć, że w ogóle kiedykolwiek się wydarzył. Jak ujmuje to Bill Fletcher, pisarz i wieloletni obrońca praw Afryki: „To było jakby ktoś nacisnął olbrzymi przycisk »delete« [6]”.

Kiedy pojawiły się wieści, że konferencja będąca kontynuacją Durbanu mogłaby odbyć się w trzy miesiące po objęciu przez Obamę prezydentury, wielu weteranów pierwszego zgromadzenia było przekonanych, że nadszedł wreszcie czas by wznowić te przerwane debaty. I z początku administracja Obamy wydawała się zdecydowana na wzięcie w nich udziału, a nawet wysłała skromną delegację na jedną z konferencji przygotowawczych.

Kiedy więc Obama ogłosił, że, podobnie jak wcześniej Bush, zbojkotuje konferencję, podziało to jak uderzeń.

Kiedy rozczarowani aktywiści ponownie zebrali się podczas Przeglądowej Konferencji poświęconej Deklaracji Durban w kwietniu tego roku, rozmowa w kuluarach często schodziła na temat bezprecedensowych kwot, jakie rządy rzucały na szalę by ratować banki. Roger Wareham zwrócił na przykład uwagę, że jeśli Waszyngton może znaleźć miliardy na ratowanie AIG, to równie dobrze może powiedzieć „Planujemy wesprzeć finansowo ludzi pochodzenia afrykańskiego, bowiem zawiniła tu historia.”. Prawdą jest, że przynajmniej na pierwszy rzut oka kryzys ekonomiczny dostarczył ruchowi domagającemu się odszkodowań nowych silnych argumentów. Największym problemem przy wypłacie odszkodowań w USA było przekonanie, że coś musi zostać odebrane białym, aby mogło zostać ofiarowane czarnym i innym mniejszościom. Jednak ze względu na szerokie wsparcie dla potężnych dofinansowań stymulujących, pojawiła się zdumiewająca ilość nowych pieniędzy unoszących się dookoła – pieniędzy, które póki co nie należą jeszcze do żadnej konkretnej grupy.

Słusznie krytykowano stanowisko Obamy w kwestii pomocy publicznej dla rynków finansowych – pakiet wart 787 miliardów dolarów, który zademonstrował wkrótce po objęciu urzędu przypomina górę prezentów rozdawanych bez ambicji rozwiązania jakiegokolwiek poważnego problemu. Gdy słuchałam Warehama w Genewie, przyszło mi do głowy, że poważna próba zasypania ekonomicznej przepaści, jaką pozostawiło niewolnictwo i Jim Crow, mogłaby być równie dobrą metodą stymulacji gospodarki jak każda inna.

Tym, co w Obamie kuszące (i irytujące), jest to, że ma on umiejętności potrzebne by przekonać wielką ilość Amerykanów o słuszności takich dążeń. Jedyne raz, kiedy podczas swej kampanii wygłosił ważne przemówienie dotyczące rasy, sprowokowane kontrowersjami wokół osoby wielebnego Jeremiasza Wrighta, opowiedział historię o dziejowej spuściźnie

niewolnictwa i zalegalizowanej dyskryminacji, która strukturalnie uniemożliwiła Afroamerykanom osiągnięcie pełnej równości, historię nie tak różną od tej, którą aktywiści tacy jak Wareham opowiadają przekonując do odszkodowań. Przemowa Obamy miała miejsce sześć miesięcy przed krachem na Wall Street, to jednak właśnie te siły, które opisywał, mogą dalece wyjaśnić zwłaszcza przyczyny tego upadku: „Zalegalizowana dyskryminacja [...] oznaczała, że czarne rodziny nie były w stanie zgromadzić jakichkolwiek znaczących dóbr, aby móc przekazać je w spadku przyszłym generacjom” powiedział Obama, co jest dokładnym wyjaśnieniem dlaczego wielu sięgnęło po ryzykowne kredyty hipoteczne. W rodzinnym mieście Obamy, Chicago, czterokrotnie bardziej prawdopodobne było zaciągnięcie kredytu hipotecznego podwyższonego ryzyka (ang.: sub-prime) przez rodzinę czarną niż białą.

Ten kryzys w zamożności Afroamerykanów tylko się pogłębił pod wpływem szerszego kryzysu ekonomicznego. Na przykład w Nowym Jorku stopa bezrobocia wzrastała czterokrotnie szybciej wśród czarnych niż wśród białych. Według nowojorskiego Timesa, zaległości czynszowe „pojawiają się trzy razy częściej w dystryktach z przewagą mniejszości, niż tych z przewagą białych”. Jeśli Obama wywiódłby krach Wall Street z polityki Jima Crowa i czerwonej kreski [7], krok po kroku aż do złamanej obietnicy 40 akrów ziemi i muła dla uwolnionych niewolników, pojawiłaby się duża szansa na przekonanie znacznej części amerykańskiego społeczeństwa, że ostateczne zniesienie strukturalnych ograniczeń dla pełnej równości nie leży wyłącznie w interesie mniejszości, ale każdego, kto chce bardziej stabilnej gospodarki.

Od momentu, gdy uderzył kryzys ekonomiczny, John A. Powell i jego zespół w Instytucie Studiów Rasowych i Etniczności imienia Kirwana przy Uniwersytecie Stanowym Ohio zaangażowali się w projekt, który nazywają „Uczciwą Odnową” (ang.: „Fair Recovery”). Przedstawia on dokładnie to, co zawierałby program gospodarczej stymulacji, gdyby jego przewodnią ideą byłoby

zniesienie ograniczeń dla równości. Plan Powella obejmuje wszystko, poczynając od dostępu do technologii, aż po powtórny rozwój społeczności. Parę przykładów: zamiast zwyczajnie przebudowywać sieć drogową kładąc nacisk na „gotowe do wdrożenia” projekty (jak czyni to obecny plan Obamy), podejście „uczciwej odnowy” obejmowałoby potężne inwestycje w transport publiczny tak by uwzględnić fakt, że Afroamerykanie żyją dalej niż jakakolwiek inna grupa od miejsc pracy. Podobnie, plan celujący w nierówności koncentrowałby się na udoskonalaniu domostw w niskodochodowych okolicach pod kątem oszczędności energetycznej, a co najważniejsze, wymagałby od wykonawców aby do tych prac zatrudniali miejscowych. Połączcie wszystkie te docelowe programy z prawdziwą reformą służby zdrowia i edukacji, a niezależnie od tego, czy nazwiecie to „odszkodowaniami”, otrzymacie coś zbliżonego do tego, do czego Randall Robinson wzywa w „Długu”: „faktycznego Planu Marshalla zagospodarowania zasobów federalnych” mającego położyć kres podziałom rasowym.

W swojej filadelfijskiej „odezwie dotyczącej rasy” Obama dobitnie oznajmił, że rasa jest czymś, „na ignorowanie czego ten naród nie może sobie pozwolić”; że „jeśli po prostu wycofamy się i rozejdziemy po kątach, nigdy nie będziemy w stanie podążyć razem i sprostać wyzwaniom takim jak opieka zdrowotna, edukacja, czy konieczność znalezienia dobrej pracy dla każdego Amerykanina”. Kiedy jednak tylko odezwa ta osiągnęła swój zamierzony cel (ocalając kampanię prezydencką zanim została pogrzebana przez skandal z udziałem Wrighta), Obama po prostu się wycofał. A od tamtej chwili jego administracja bez przerwy wycofuje się z kwestii rasowych.

Aktywiści społeczni donoszą, że Biały Dom jest skłonny słuchać tylko o tych projektach, które są „rasowo neutralne” – niczego co wyraźnie dotyka problemów historycznie poszkodowanych wyborców. Jego programy mieszkalne i edukacyjne nie odnoszą się do potrzeby desegregacji; w istocie entuzjazm Obamy względem prywatnych „czarterowych” szkół może znacznie tę

segregację pogłębić, bowiem szkoły czarterowe są jednymi z najbardziej homogenicznych w kraju. Pytany o konkretne kwestie dotyczące tego, co jego administracja robi by zająć się wyjątkowo nieproporcjonalnym wpływem, jaki na sytuację Afroamerykanów i Latynosów miał kryzys finansowy, Obama ustawicznie powracał do linii argumentacji, w myśl której dzięki naprawie gospodarki i zwiększeniu dochodów pomoże się wszystkim, „czarnym, brązowym i białym”, a przede wszystkim najbardziej potrzebującym.

Wszystko to spotyka się ze wzrastającym przerażeniem wśród ekspertów zajmujących się problematyką nierówności. Wzrost zasiłków i ilości szkoleń dla bezrobotnych pomaga głównie ludziom, którzy właśnie stracili swoją pracę. Dotarcie do tych, którzy nigdy nie byli formalnie zatrudnieni – a wśród których jest wielu karanych – wymaga dalece bardziej złożonej strategii, która znosi wielorakie przeszkody jednocześnie. „Traktowanie ludzi, którzy są odmiennie sytuowani tak, jak gdyby byli tacy sami, może prowadzić do jeszcze większych nierówności”, ostrzega Powell. Trudno będzie zbadać, czy w tym przypadku jest tak rzeczywiście, ponieważ Biuro Budżetowe Białego Domu jak dotąd odmawia nawet prowadzenia statystyk, w jaki sposób jego programy wpływają na sytuację kobiet i mniejszości.

Byli tacy, którzy to przewidzieli. Latynoski aktywista Juan Santos jeszcze podczas kampanii prezydenckiej napisał cieszący się znaczną popularnością esej, w którym przekonywał, że niechęć Obamy do mówienia o rasie (poza sytuacjami, gdy wymagało tego dobro jego kampanii) nie jest triumfem okresu postrasistowskiego, ale rasistowskiego. Milczenie Obamy, przekonywał, jest tym samym milczeniem, z którym żyje każda kolorowa osoba w Ameryce, rozumiejąc że może zostać zaakceptowana w białym społeczeństwie tylko jeśli zgodzi się nie mieć nikomu za złe rasizmu. „Milczymy, z reguły, w pracy. Milczymy, z reguły, w białym świecie. Barack Obama jest żyjącym symbolem naszego milczenia. On jest naszym milczeniem

wyniesionym na piedestał. On jest naszym Milczeniem ubiegającym się o prezydenturę.”. Santos przewidział, że „gdy idzie o interes czarnych, Obama byłby uciszonym Czarnym władcą: Czarnym imperatorem w kagańcu.”

Wielu obrońców Obamy zareagowało ze złością: jego milczenie było zwyczajną wyborczą strategią, mówią. Robił to, co należało, by biali rasiści czuli się komfortowo głosując na czarnoskórego. Wszystko to oczywiście się zmieni, gdy Obama obejmie urząd. Ale decyzja Obamy o bojkocie Durbanu definitywnie pokazała, że strategia wyborcza jest także strategią rządzenia.

Dwa tygodnie po zakończeniu Przeglądowej Konferencji Durban II, skrajnie prawicowy komentator Rush Limbaugh wyskoczył z nową teorią przedstawiając ją swoim szacunkowym 14 milionom słuchaczy. Obama, stwierdził Limbaugh, celowo rozwałął gospodarkę tak, by móc dać więcej datków czarnym. „Celem jest więcej kartek żywnościowych. Celem jest więcej zasiłków dla bezrobotnych. Celem jest rozszerzanie państwa opiekuńczego. Celem jest wziąć bogactwo narodu i zwrócić je narodowym prawowitym właścicielom. Myślcie o odszkodowaniach. Myślcie o przymusowych odszkodowaniach, jeżeli chcecie zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi.”.

Był to oczywiście nonsens, ten wybuch był jednak pouczający. Niezależnie od tego jak neutralny rasowo stara się być Obama, jego postępowanie postrzegane będzie przez znaczną część społeczeństwa przez pryzmat jej rasowej obsesji. Zatem, skoro nawet jego najbardziej nieśmiałe, band-aidowe [8] działania witane będą jak gdyby właśnie prowadził krucjatę przeciwko rasizmowi, Obama ma niewiele do stracenia wykorzystując tę ulotną polityczną sposobność by rzeczywiście uleczyć choć parę krajowych bolączek rasowych.

Autor: Naomi Klein

Tłumaczenie: Roland Zarzycki

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1] Kampania 'massive resistance' została zainicjowana przez senatora Harry'ego F. Byrda 24 lutego 1956 roku celem zjednoczenia białych polityków w Wirginii w odpowiedzi na decyzję Sądu Najwyższego o desegregacji rasowej szkół publicznych (przyp. tłum.).

[2] (ang.) homeownership rate – wskaźnik tworzony w oparciu o iloraz ilości jednostek zamieszkałych przez właściciela do ogółu jednostek zamieszkałych (przyp. tłum.).

[3] (ang.) net worth – wartość posiadanych aktywów pomniejszona o zobowiązania (przyp. tłum.).

[4] (ang.) op-ed – skrót od ang. 'opposite the editorial page' – artykuł wyrażający opinię autora niestowarzyszonego z zespołem redakcyjnym (przyp. tłum.).

[5] (ang.) Millions for Reparations – w oryginale jest hasłem co najmniej dwuznacznym: może być odczytywane jako „miliony na odszkodowania” oraz jako „miliony (obywateli) za odszkodowaniami” (przyp. tłum.).

[6] (ang.) delete – kasuj (przyp. tłum.).

[7] (ang.) redlining – praktyka odmawiania lub zwiększania kosztów dostępu do usług bankowych, ubezpieczeń, pracy, opieki zdrowotnej, a nawet supermarketów, mieszkańcom określonych obszarów, często wyznaczonych w oparciu o segregację rasową (przyp. tłum.).

[8] (ang.) Band Aid – brytyjska i irlandzka muzyczna grupa charytatywna założona w imię szczytnych celów przez Boba Geldofa i Midge Ure, z czasem stała się synonimem fasadowych działań i kosmetycznego spektaklu zaplanowanego, by odwrócić uwagę od rzeczywistych problemów politycznych (przyp. tłum.).